

LUSIA ORAZ WOJTUŚ, ELIZA I WOJCIECH ŁOPACIŃSCY

ZABRAŁAM BRATA DOOKOŁA ŚWIATA

AMERYKA ŁACIŃSKA



ZOBACZ WIĘCEJ
FILMÓW I ZDJĘĆ



SPIS TREŚCI

Wstęp	8	NIKARAGUAŃSKI RAJ SOCJALISTYCZNY	
		10–17 sierpnia	156
NIEMCY, HISZPANIA I GWATEMALSKI WULKAN		SEÑORA IRMA – OSTATNIA	
SAN PEDRO NA POCZĄTEK		KOSTARYKAŃSKA CRIOLLA	
15–24 czerwca	10	17–27 sierpnia	178
SPOTKANIE		Z WIZYTĄ U KRÓŁA	
Z BELIZEŃSKIMI REKINAMI		PANAMSKICH INDIAN NASO	
24 czerwca–3 lipca	46	27 sierpnia–5 września	198
MEKSYKAŃSKI LEW Z TORTILLĄ		KUBAŃSKIE CYGARA Z HAWANY	
3–23 lipca	66	5–15 września	230
GWATEMALA PO RAZ DRUGI		RODZINNE WYKŁADY	
23–27 lipca	102	NA KOLUMBIJSKIM UNIWERSYTECIE	
SALWADORSKIE MINISTERSTWO		15–26 września	270
27 lipca–3 sierpnia	114	EKWADORSKI AMBASADOR	
HONDURASKIE		DOTRZYMAŁ SŁOWA	
STRACHY NA LACHY		26 września–5 października	294
3–10 sierpnia	130	Zakończenie „na środku Ziemi”	326

NIEMCY, HISPANIA I GWATEMALSKI WULKAN SAN PEDRO NA POCZĄTEK

15–24 CZERWCA



PAŃSTWO ► Gwatemala

STOLICA ► Gwatemala (Ciudad de Guatemala)

DŁUGOŚĆ POBYTU ► 9 dni

POKONANA ODLEGŁOŚĆ ► 1590 km

NA TALERZU ► tortilla, smażony banan i sopa de pollo

ŻYWE WSPOMNIENIA

- pierwsze noce w namiocie
- pierwsza jazda chicken busem
- rodzinne zdobycie wulkanu San Pedro (3020 m n.p.m.)
- święte jezioro Atitlán

Wjeżdżając do Gwatemali, mieliśmy za sobą 12 250 kilometrów (z Polski przez Niemcy i Hiszpanię), byliśmy w podróży 6 dni.

LUSIA ► Zabrałam brata w podróż, a mnie zabrali rodzice, ale czy to nie wszystko jedno, kto kogo namówił? Pojechaliśmy i już. Jak do tego doszło? Myślę, że powodem był czas – a raczej brak czasu rodziców dla nas. Ciągłe pracowali i pracowali. Tata to już naprawdę przesadzał, bo nawet w soboty i niedziele pracował. Wyjeżdżał wtedy z Torunia i było go jeszcze mniej niż zwykle. Normalnie przechłapane.

Powiedziałam im raz, że mam już tego dość i że chcę mieć „więcej rodziców”. Znają mnie i wiedzą, że potrafię postawić na swoim. Chyba wtedy zdecydowali się coś z tym wszystkim zrobić. A jak moi rodzice coś wymyślą, to na ostro. No i wymyślili. „Będziemy trochę podróżować” – powiedzieli. To „trochę” miało trwać dwa wakacyjne miesiące. Potem oznajmili, że pół roku, a w końcu stanęło na rocznej wyprawie dookoła świata. Wojtek trochę się zastanawiał, więc musiałam przemówić mu do rozumu, wytłumaczyć, że przez cały rok nie będzie chodził do szkoły.

WOJTUŚ ► Tę podróż zacząłem tak naprawdę kilka dni przed wyjazdem z Polski. Moi starzy planowali ją od kilku lat, ale ja w ogóle o niej nie myślałem. Wiedziałem, że wymyślili coś niesamowitego, ale tego nie ogarniałem.



◀
Afryka, Azja,
Ameryka...
Od czego tu zacząć?

Kiedyś tata przyniósł do domu wielką mapę świata i powiesił ją w salonie. Zaczęliśmy rysować trasę podróży, ale po kilku dniach euforia minęła i na mapie pozostały kreski łączące odległe państwa oraz dorysowane przez moją durną siostrę samoloty, statki podwodne kapitana Nemo i motory. Skąd mogłem wiedzieć, że kilka miesięcy później, mając 13 lat, będę jeździł z nią na motorze w Wietnamie...

To, że ja nie odczuwałem przygotowań, nie znaczy, że ich nie było. Pamiętam, że rodzice ciągle się z kimś spotykali i wiele rozmawiali, a tata co chwila ogłaszał jakieś nowiny. Raz zabrał mnie do Gdańska na spotkanie z polarnikiem Markiem Kamińskim. Ale gość! Zapytałem go, przy ilu stopniach mrozu spał w namiocie, a on powiedział, że nie wie, bo termometr zamarzł. Ha, ha, ha. Powiedział też, żebyśmy zabrali ze sobą dobry sprzęt. Tata tak się przejął, że postanowił przetestować śpiwory i 3 stycznia przespaliśmy się w ogrodzie. Niezły hardcore. Na dworze było zimno, 2 albo 3 stopnie poniżej zera, a my daliśmy dziewczynom po buziaku i poszliśmy spać do namiotów. 100 dni przed wyjazdem powiesiliśmy w salonie sznurek ze stoma ponumerowanymi karteczkami. Każdego ranka mieliśmy odrywać jedną. Kilka razy nawet pokłóciłem się z Luśką, bo wstawiała wcześniej i gnała do sznurka. Po jakichś dwóch tygodniach zapomnieliśmy o kartkach, więc mama kazała sprawdzać, ile dni zostało.

Zamiast o wyjeździe myślałem o zakończeniu roku szkolnego. Nie było czasu na nudę. Koledzy trochę mi zazdrościli, ale nie dawali nic po sobie poznać. Zresztą większość z nich całe dni spędzała na graniu. Ja także lubię grać, ale najbardziej kocham książki. W dzisiejszych czasach to trochę obciach, ale nigdy się tym nie przejmowałem. Czasami tyle czytałem, że rodzice zabraniali mi czytać dalej i kazali iść spać. Musiałem wtedy zapalać kupioną na wyprawę latarkę i czytać pod kołdrą.

Przed samym wyjazdem było pożegnanie na Rynku Staromiejskim. Właśnie wtedy pierwszy raz poczułem, że zaczynamy coś wielkiego. Tata wcześniej mówił, że będziemy robić rzeczy niezwykle (spacerować po pustyni, wchodzić na wulkan i sprawdzać, jak wygląda koniec świata), ale dopiero w tym dniu zrozumiałem to



Pożegnanie
przez prezydenta
Torunia
Michała Zaleskiego

wszystko. Staliśmy na scenie przed ratuszem i opowiadaliśmy o naszych planach. Przyszła cała moja klasa!!! Poczułem się jak gwiazda albo jakiś wielki podróżnik sprzed lat. Dostaliśmy życzenia, kwiaty i wiele prezentów. Przyszedł nawet prezydent Torunia. To spoko gość. Dał nam kompas, żebyśmy nie zgubili drogi powrotnej, i kazał wszędzie, gdzie będziemy, opowiadać o Toruniu. „Wreszcie wyjeżdżamy” – pomyślałem i wyobraziłem sobie robaki, których wkrótce miałem skosztować. Postanowiliśmy próbować wszystkich egzotycznych potraw, łącznie z tymi naprawdę ekstremalnymi!!!

Z Torunia pojechaliśmy do Częstochowy. To był pomysł taty, żeby na Jasnej Górze „zorganizować ubezpieczenie”. Pewnie miał rację, bo przed wyjazdem ludzie nieźle nas straszili. Pamiętam, jak raz mój kolega powiedział, że w niektórych krajach można zostać oskalpowanym i że w Afryce żyją kanibale. Brr! Gdy takich rzeczy słuchałem, dostawałem dreszczy.

Potem było pożegnanie z babciami w Szczecinie i wylot z Berlina, więc można powiedzieć, że Niemcy to pierwszy kraj na trasie naszej wyprawy. Gdy samolot oderwał się od ziemi, poczułem, że oto zaczyna się największa przygoda w moim życiu. Lot do Madrytu trwał chwilę (to znaczy 2 godziny), ale ja oddaliłem się od szkoły, kolegów i tego, co dotychczas robiłem, o całą wieczność. I ta nowa sytuacja bardzo mi się spodobała, zwłaszcza że pani stewardesa

MADRYT

zakochała się w Luście i dała nam dodatkowe dwa desery, które ja zjadłem, bo moja siostra alergiczka nie mogła. No i super! W takich momentach naprawdę ją kocham.

Gdy wylądowaliśmy w Madrycie, rodzice oznajmili, że będziemy spać na lotnisku. Mama znalazła w jednej z kawiarni kanapy i rozłożyła śpiwory. Nie musiałem się kąpać!!! Rodzice odpuścili, bo organizowali jakiegoś szampana, żeby świętować początek podróży.

ELIZA ► „Nocleg na lotnisku? Wojtek, przecież to jakaś masakra” – tak jeszcze kilka lat temu zareagowałabym na kolejny zwariowany pomysł mojego męża. Po trzymiesięcznej samotnej podróży przez Indie inaczej patrzę na świat. Biorę go takim, jaki jest, i staram się nie protestować. Położyłam dzieci spać w pustej kawiarni i usiadłam obok Wojtka, jakbyśmy byli w naszym domu.

Ta wyprawa miała być spełnieniem marzeń o wspólnym zdobywaniu świata. Liczyliśmy, że podróżowanie z dziećmi będzie fantastycznym doświadczeniem. Byliśmy tak napaleni, że nie braliśmy pod uwagę jakichkolwiek zagrożeń czy zmiany planów. Niektórzy znajomi

pytali, jak mogę robić coś takiego swoim dzieciom. Na Facebooku pojawiały się wpisy, że jestem egoistką, bo realizuję własne marzenia kosztem Lusi i Wojtka. Oskarżano nas, że zabierając dzieci ze szkoły, odrywamy je od nauki, pozbawiamy szans... A my czuliśmy, że dajemy im edukację życia.

LUSIA ► Nawet nie pamiętam, kiedy zasnęłam. Marzyłam o podróży. Mieliśmy zobaczyć, jak wygląda wulkan, pustynia i wielki wodospad. Już nie mogłam się doczekać



►
Pierwsza noc,
na lotnisku
w Madrycie

spotkania z tygrysem. To najfajniejsze zwierzę świata, a mojego tygrysa musiałam zostawić w domu. Rodzice nie zgodzili się zabrać kotka Bolusia. Cóż, musiał czekać na mnie w Polsce.

Obudziłam się pierwsza, otworzyłam jedno oko i onie miałam. Leżeliśmy w kawiarni, a wokoło było pełno ludzi, którzy pili kawę i jedli śniadanie. Setki osób pokazywało nas palcami!!! Wojtek powiedział, że nie wyjdzie ze śpiwora, bo nie wie, gdzie są jego spodnie, a w majtkach nie będzie chodził po lotnisku. Mama znalazła zgubę i uśmiechając się, wręczyła nam kanapki.

Moi rodzice są super, ale muszę ich pilnować, bo czasami przesadzają. Mówili mi, że ta wyprawa będzie trochę inna niż nasze dotychczasowe życie, ale żeby spać pomiędzy barowymi stolikami na lotnisku...

WOJCIECH ► Chciałem przeżyć coś innego. Zerwałem ze zwykłym życiem, które prowadziłem dotychczas, przez 44 lata. Postawiłem wszystko na jedną kartę. Zamiast nadal uczestniczyć w wyścigu szczurów, postanowiłem zostać bezrobotnym ojcem, który jak szaleniec chce uczyć dzieci świata, a nie pytać w kółko, co mają zadane i jaką ocenę dostały w szkole.

Moi rodzice nie mieli czasu uczyć mnie marzyć. Ciężko pracowali w socjalistycznej rzeczywistości. Byli nauczycielami, więc w domu się nie przelewało. Jako uczeń szkoły podstawowej wyjechałem do Wschodnich Niemiec, na pielgrzymkę do Włoch i do rodziny w Szwecji. Świat był dla mnie czymś dalekim i niedostępnym.



◀
Nasze marzenie
się spełnia.
Jesteśmy
w Gwatemali!

Mama potrafiła robić rzeczy szalone, na przykład zabrać mnie i mojego brata samolotem do Warszawy czy pożyczyć od wujka pieniądze, abym mógł pojechać do Rzymu... Ale wspomnienia tych wyjazdów już dawno zatarły się w mojej pamięci.

Postanowiłem pokazać moim dzieciom, że życie może być nie tylko wypełnianiem obowiązków, ale przede wszystkim odkrywaniem samego siebie. Pragnąłem, żeby Wojtek i Lusia zrozumieli, że marzenia są po to, aby je realizować. Chciałem, żeby poczuli się obywatelami świata. Żeby nie ograniczali postrzeganej rzeczywistości do znanej sobie kultury i ludzi oraz tego, czym żyjemy w Europie. Chciałem nauczyć ich patrzeć szeroko. Bardzo szeroko. I bardzo daleko.

Przygotowując się do wyjazdu, tak zaplanowałem trasę wyprawy, żebyśmy nie jechali do rozwiniętych państw. Interesowała mnie dżungla świata, a nie wydmuszka nowoczesności. Chciałem sprawdzić z dziećmi, jaki nasz świat jest naprawdę.

Robiliśmy to od samego początku. Już pierwszego wieczora w Gwatemali Lusia i Wojtek poznali dziesięcioletniego chłopca, który sprzedawał herbatę i placki. Pomyślałem wtedy: „Czy to nie będzie najlepsza szkoła dla moich dzieci? Lekcja nauki o społeczeństwie?”.

Uspokoiłem się, że nie zwariowałem, jak niektórzy sugerowali przed wyjazdem. To nic złego, że postanowiłem pokazać dzieciom



▶ Chłopiec sprzedający owoce (w czasie kiedy powinien być w szkole)



◀ Kraty w sklepach – w Gwatemali wszechobecne

świat – aby go posmakowały, zamiast oglądać go w telewizji. Żeby rozkochały się w życiu i otaczających nas ludziach. Żeby miały odwagę wielkich odkrywców, którzy nie boją się dotknąć języka lodowca i pogłaskać pływającego rekina.

Zadanie było ambitne i trudne, a trudności zaczęły się już na samym początku. Nie jest łatwo przyznać się do tego, co poczułem, gdy znaleźliśmy się w Gwatemali. Oto ja, głowa rodziny, przywiozłem żonę i dzieci do świata, w którym każde okno ma kraty, faceci chodzą z nabitymi giwerami w kieszeni, a ogrody otoczone są drutem kolczastym pod napięciem. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że do niektórych autobusów nie powinniśmy w ogóle wsiadać.

„No to sobie wybraliśmy państwo na początek podróży” – pomyślałem i poczułem, jak stróżka potu spływa mi po czole. Zaraz potem z nerwów zapomniałem kodu dostępu do poczty mailowej, hasła do portalu, przez który załatwialiśmy kwatery, i zgubiłem kartkę z adresem naszego gospodarza. Siedziałem na przystanku autobusowym z dwójką zmęczonych trzydziestogodzinną podróżą dzieci i przerażoną żoną. Nie wiedziałem, gdzie mamy jechać na nocleg, zorganizowany wcześniej dzięki couchsurfingowi!

CIUDAD DE GUATEMALA



Uratował nas telefon satelitarny i wyuczony na pamięć przez ostatnie 10 lat numer telefonu służbowego, który odziedziczyła wraz z moim stanowiskiem koleżanka z pracy. Odzyskałem dostęp do danych. Ufff!

Marie, która nas zaprosiła, czekała w domu.

– Gdzie jesteście? – zapytała.

Nie wiedziałem, bo spod lotniska pierwszym lepszym autobusem pojechaliśmy do centrum. Pamiętałem tylko, że autobus miał kolor zielony...

– *Todo bien*, wszystko dobrze. Teraz weźcie taksówkę i za dwieście minut będziecie u mnie.

Założyliśmy, że podczas wyprawy nie będziemy spać w hotelach ani jeździć taksówkami, ale tym razem nie zastanawiałem się nawet przez chwilę.

Marie Ávelos, nasz pierwszy południowoamerykański gospodarz, uściskała nas serdecznie, gdy tylko przekroczyliśmy próg jej domu.

– Pewnie jesteście głodni? – zapytała.

– Tak, bardzo. Podróżujemy od wczoraj – odpowiedziałem, wyobrażając sobie jakieś lokalne smakołyki.

Gospodyni zaprowadziła nas do nowego supermarketu obok swojego domu i postawiła po... hamburgerze i lodzie. Potem tłumaczyła, jak poruszać się po stolicy Republiki Gwatemali: „Nigdy nie wsiadajcie do zielonych autobusów. Są niebezpieczne. Z nich wysiada się czasami w samych majtkach. Ja nigdy nimi nie jeżdżę”.

„Hm, ta podróż będzie z pewnością pełna niespodzianek” – pomyślałem, przeczuwając, że hasło „elastyczna zmiana planów” stanie się lejtmotywem naszej wyprawy. Wcinający lody Wojtek uśmiechał się tylko, zadowolony, bo lody znajdowały się (obok hoteli, coca-coli i fast foodów) na liście reglamentowanych lub objętych całkowitym embargiem towarów.

ELIZA ▶ Uwielbiam pierwszy dzień w nowym państwie. Czuję się wtedy jak odkrywca. Poznaję nowe ulice i każdy mijany skrawek miasta, ale tu włos jeżył mi się na głowie. Gwatemala to chyba

▶
Dzieci są
z matkami
przez
cały dzień



najbardziej okratowane miasto świata. Pręty są wszędzie. Montuje się je nawet w sklepowych witrynach i gdy chcesz coś kupić, podajesz pieniądze przez mały otwór, a sprzedawca wydaje towar. Przed bankami stoją uzbrojeni w strzelby ochroniarze. Modne jest też podłączanie metalowych ogrodzeń do prądu. Na początku byliśmy zszokowani, ale im dłużej spacerowaliśmy, tym stawali się spokojniejsi.

Gdy dotarliśmy do centrum, nie odczuwaliśmy już strachu czy zagrożenia. Ludzie uśmiechali się. Sympatyczne kobiety, ubrane w długie, kolorowe spódnice, zapraszały do swoich straganów. Było tłoczno i bardzo ubogo, ale w Indiach widziałam już większą biedę, więc ta mnie nie przerażała.

Zauroczeni nową rzeczywistością włączyliśmy się pół dnia bez celu. Poznając niemal każdy zakątek miasta, chłonąc jego atmosferę, kolory, zapachy, rozkoszowaliśmy się innością. Dotarliśmy do Mercado Central. Słyszeliśmy, że w takich miejscach rozkładają się budy z jedzeniem, a w nich zamierzaliśmy kupować najtańszą żywność. „Hm, ale tu syf” – pomyślałam.

Wszystko było okropnie brudne. Garnki, stoły i krzesła. Trzeba było uważać, żeby się do nich nie przykleić. (Ale dania przygoto-

wywane były ze świeżutkich warzyw i pachniały niesamowicie). Jako że postanowiliśmy jeść jak i tam gdzie miejscowi, musiałam się przyzwyczaić. W małych ulicznych garkuchniach oddane przez gości brudne talerze tylko płukano, zamiast zmywać, i serwowano na nich posiłek kolejnym osobom. Czasami miski tylko przecierano – ale to było gorsze, bo tą samą szmatą pani obsługująca gości wycierała stół, krzesła i podłogę. Widziałam, że niektórzy jedli z liści bananowca lub z plastikowych talerzy. Te miały być jednorazowe, ale nie mając pewności, że są, wybrałam zwykły talerz.

Woda w misce numer jeden, trochę czystsza woda w misce numer dwa – i talerz gotowy. Potem pani nałożyła mi posiłek i wskazała miejsce. Usiadłam przy małym stolczku. Wzięłam pierwszy kęs do ust i... zapomniałam o higienie. Potrawa była przepyszna, więc kto by się przejmował drobnostkami? Najbliższy sanepid był kilka tysięcy kilometrów stąd.

WOJTUS ▶ Gwatemala podzielona jest na zony, czyli dzielnice. Każda zona ma numer – im niższy, tym w niej biedniej. Wszystkich dzielnic jest 25, a Marie wynajmowała nam mieszkanie w zone 9. Marie była wiceministrem edukacji i dlatego zainteresowała



▶
Brud i bałagan
to w gwatemalskich
garkuchniach norma

ją nasza podróż. Marie wstawała bardzo wcześnie i biegła na fitness. Śniadań nie jadła, bo podobno walczy z nadwagą i ogranicza jedzenie. Hm, *sorry* Marie, ale na razie sukcesów brak.

My nie zamierzaliśmy ograniczać się w jedzeniu i drugiego dnia rano wyruszyliśmy w poszukiwaniu pysznego śniadania. Niedaleko naszej kwatery stał stragan z kanapkami z dziwną brązową pastą. W wielkim garnku grzało się mleko i coś pływało. Mama była zachwycona tutejszą kuchnią, więc zaproponowaliśmy, żeby pierwsza spróbowała kanapek. Sprawdziła i były okej. Zasmakowały nam wszystkim. Ja sam zjadłem cztery bułki.

Gęsta brązowa pasta to – jak się dowiedzieliśmy – frijoles, czyli gotowana (na każdym rogu) fasola. Na dobre zagościła w naszym menu, jedliśmy ją prawie codziennie przez następne 6 miesięcy. Luśka zakochała się w leche de arroz – ryżowym mleku, i wypila dwa wielkie kubki. Było wesoło. Panie nakładały wszystko rękoma, a dookoła latały muchy. Wszyscy nam się przyglądali i śmiali się. Wtedy dowiedziałem się, że jestem gringo. Od tego momentu już zawsze w Ameryce Południowej mówiono na mnie gringo. Gringo, co za frijoles nie przepada.



Nasza dzielnica właściwie nie różniła się niczym od dużych miast w Polsce: wysokie budynki, centra handlowe i nowoczesne przystanki autobusowe. Ludzie w garniturach, z telefonami komórkowymi biegli rano do pracy. Tylko przed biurkami stali dziwni ochroniarze ze strzelbami. Podobno dla bezpieczeństwa pracowników i gości.

Następnego dnia o 8.00 rano czekało na nas pod domem auto. Pani kierowca powiedziała, że *señora* Elenita



Señora Elenita
jada zawsze
w najlepszych
restauracjach

zaprasza nas na śniadanie. Byłem bardzo głodny, bo Marie, znów niczego nie zjadłszy, śmignęła na fitness. W domu, w weekendy, robimy sobie uroczyste śniadania. Siadamy razem, gadamy i długo, długo jemy pyszności. Ciekawe, co by wtedy robiła z nami Marie, bo ona raczej nie spędzała tak czasu z rodzicami w młodości.

Zajechaliśmy do podobno bardzo drogiej restauracji, „bo *señora* Elenita tylko w takich jada”, poinformowała nas pani kierowca. Mama poprosiła, żebym nie kłócił się z Luśką i żebyśmy nie wariowali. Aby ją uspokoić, powiedzieliśmy, że będziemy grzeczni, ale nie traktowaliśmy tej obietnicy serio. W restauracji czekało już z dziesięć osób, na czele z panią Elenitą – właścicielką kilku prywatnych szkół. To byli nauczyciele. „Na pewno jacyś nudni goście” – pomyślałem, ale potem okazało się, że są bardzo sympatyczni. Jeden z nich, pan Sanchez, był matematykiem. Nauczył mnie kilku sztuczek i podarował napisaną przez siebie książkę do matematyki.

Kelner przyniósł menu i mogliśmy zamawiać, co chcieliśmy i ile chcieliśmy. „Ło! Ten dzień zaczyna się w porządku”. Nie znaliśmy hiszpańskiego, więc wybieraliśmy dania, patrząc na obrazki. Luśka wzięła coś na ładnym talerzu i dostała gotowaną czerwoną fasolę. Po zjedzeniu połowy powiedziała mi na ucho, że chyba zwymiotuje,



▶ Dzieci bawią się ze sobą bez względu na wiek, płeć i znajomość języka

bo to takie niedobre. Pomogłem siostrze i zjadłem drugą połowę, a ona udawała, że się najadła. Na koniec dostaliśmy koktajle i słodki deser. Deser też zjadłem za Lusię, ale w tym przypadku nie miałem jej zgody. Musiałem jeść bardzo szybko, gdy wyszła do łazienki. Kiedy wróciła, miała do mnie o to pretensję. „Bez sensu. Czego ona znów chce...?”

LUSIA ▶ Rodzice rozmawiali i rozmawiali, a my się nudziliśmy. Wreszcie tata się zlitował i pozwolił nam

odejść od stołu. Po co dorośli wymyślają takie głupie zasady? Czy nie można po prostu zjeść i zająć się sobą? Szczególnie ojciec zawraca nam ciągle takimi sprawami głowę. A to umyć ręce przed



▶ Antigua Guatemala – dawna stolica państwa

posiłkiem, a to jeść nożem i widelcem, a to trzymać ręce na stole i tak dalej. Jakies totalne bzdury.

Poszliśmy z Wojtkiem pobawić się w strumyku, który płynął przez restaurację. A w strumyku, jak to w strumyku, było dużo wody, więc gdy zawołali nas rodzice, byłam cała mokra. W Polsce dostałabym ochrzan od mamy, ale tym razem wszyscy się śmiali. Łoooł, zaczął podobać mi się ten wyjazd.

WOJTUŚ ▶ Pani Elenita zadzwoniła po kierowcę i kazała zawieźć nas do miasta Antigua Guatemala, czyli do Starej Gwatemali. Kiedyś była to stolica państwa, ale w 1773 roku dwa wulkaniczne trzęsienia ziemi zniszczyły doszczętnie miasto i ze względów bezpieczeństwa zdecydowano się przenieść stolicę kilka kilometrów dalej. Antigua Guatemala naprawdę jest stara, bo została założona prawie 500 lat temu. Centrum wygląda jak skansen, a główne uliczki są bardzo wąskie i wyłożone kostką.

Nie jestem fanem muzeów, ale rodzicom bardzo się tu podobało. Pan Sanchez oprowadził ich po kilku wystawach, a ja i Luśka spokojnie wdrapywaliśmy się na zabytki. Najfajniejsze były ogromne głazy wewnątrz jakiegoś opuszczonego kościoła. Podobno były to pozostałości po trzęsieniu ziemi.



ANTIGUA
GUATE-
MALA

▶ Katedra San José, Antigua Guatemala

Spędziliśmy w Antigui prawie całe popołudnie i dopiero wieczorem wróciliśmy do zony 9. Znów byłem głodny, a Marie dalej się odchudzała, więc mama zrobiła owocową sałatkę.

WOJCIECH ► Na następny dzień mieliśmy zaplanowane wizyty w szkołach pani Elenity. Sam pomysł odwiedzania uczniów zrodził się jeszcze w Polsce, gdy zdaliśmy sobie sprawę, że nasze dzieci nie będą przez cały rok chodziły do szkoły.

„Po moim trupie” – powiedziałem i wymyśliłem projekt „Szkoły świata”. W każdym państwie, które zamierzaliśmy odwiedzić, Wojtuś i Luśka mieli spotykać się z dziećmi i opowiadać im o Polsce.

Chcieliśmy, żeby mieli swoje obowiązki podczas podróży. To oni przygotowali prezentację i ustalili, kto co mówi.

Projekt „Szkoły świata” miał też głębszy sens. W tę podróż nie wziąłem telefonu komórkowego – z premedytacją zdałem się na drugiego człowieka. Jechaliśmy poznawać świat i podpatrywać ludzi żyjących inaczej. Nie chcieliśmy spać w hotelach nie tylko z powodów budżetowych (choć z pewnością nie byłoby nas stać na 365 noclegów). Zamierzaliśmy zatrzymywać się u zwykłych ludzi, bo chcieliśmy lepiej ich poznać, przyglądając się im w ich



Pierwsza szkolna prezentacja w Gwatemali



Opowiadamy dzieciom o Polsce, naszej kulturze i tradycjach

codziennemu życiu. W czasach gdy nie znamy naszych sąsiadów i czujemy się obco w wielkich sklepach, gdzie mijają nas tysiące ludzi, pragnęliśmy stworzyć relację z drugim człowiekiem. Nastawiliśmy się na „branie totalne”. Na korzystanie z dobroci innych. Na ludzi o czułych sercach. Byłem pewny (choć troszkę się bałem), że takich spotkamy.

„Szkoły świata” to miała być nasza odpowiedź na otrzymywane dobro. Dawanie siebie innym. Próba spłaty długu. Tak ten projekt postrzegałem.

WOJTUŚ ► Przy wejściu do pierwszej szkoły przywitały nas ustawione w rzędy dzieci. Machały chorągiewkami i bardzo się cieszyły na nasz widok. Dyrektorka szkoły pokazała nam, jak wyglądają klasy. Byliśmy pod wrażeniem. Gwatemala niby taka biedna, a tu tablice interaktywne i laboratorium do hodowania roślin. Każde dziecko ma tablet i osobny stolik. Tych tabletów to im nawet za-
zdroszczę.

Początkowo w ogóle się nie stresowałem, ale gdy dostałem do ręki mikrofon i miałem opowiedzieć dwustu patrzącym na mnie dzieciom o Polsce, trochę załamał mi się głos. Nie znałem hiszpańskiego, więc mówiłem po angielsku, a jedna z nauczycielek



W szkole pani Elenity (film)

tłumaczyła na hiszpański. Po kilku slajdach przestałem się stresować i poszło jak po maśle. Normalnie mówca ze mnie urodzony.

Później zaśpiewaliśmy hymn polski, a rodzice zatańczyli poloneza. Najbardziej jednak podobał się wszystkim odcinek *Przygód Bolka i Lolki*. To lekka siara oglądać taką kreskówkę w moim wieku, ale zrobiłem to z patriotyzmu. Tata mówił, że przez bajki można najfajniej opowiedzieć o naszym kraju.

Miał rację, ale tylko w połowie. Reksio i Bolek z Lolkiem okazali się niezłym hiciorem, który przebiły... toruńskie pierniki. Dzieciaki dosłownie wyrywały je sobie z rąk. Jestem pewien, że teraz Pol-skę kojarzą z czymś bardzo słodkim.

Po prezentacji i zrobieniu wspólnej foty wszyscy rzucili się na nas, prosząc o autografy i selfie na fejsa (każdy dzieciak chciał je zrobić). Luśka prawie się popłakała, bo czarnowłose dziewczyny dotykały jej jasnych włosów. Mama zgubiła ważny kabel od laptopa, a tata próbował ogarnąć sytuację. Na szczęście przyszła *señora* Elenita, kazała wracać wszystkim na miejsca, a nas zawiozła do innych dzieci.

Tego dnia odwiedziliśmy jeszcze trzy jej szkoły. Wszystkie były bardzo nowoczesne i podobnie urządzone. W ostatniej nie trzeba było nawet tłumaczyć prezentacji z angielskiego na hiszpański, bo dzie-



Po hiszpańsku
piernik to
pan de jengibre

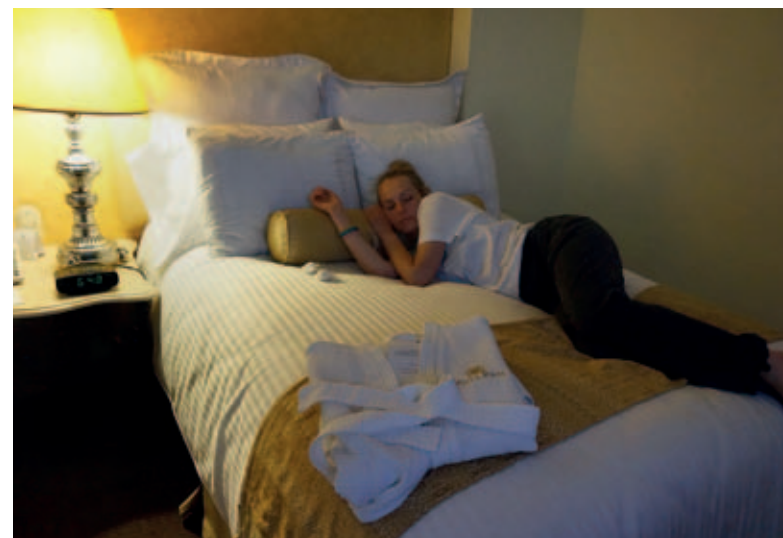
ciaki super mówiły po angielsku. Zorganizowały też dla nas przedstawienie. Zaśpiewały, zatańczyły narodowe tańce, a potem wręczyły nam prezenty. Łoooo, poczułem się jak ambasador Polski, choć trochę mi było szkoda pierników. Dużo ich nie mieliśmy, a zawartość każdej otwartej paczki zniknęła w gardłach dzieciaków po kilku sekundach.

Na koniec *señora* Elenita powiedziała, że zaprasza nas na noc do hotelu i że ona funduje nam pobyt. Bardzo się ucieszyłem, bo miał tam być basen, no i śniadanko...

Pokój był ekstra. Materac na łóżku miał chyba z metr grubości. Tata pracował w różnych hotelach, ale takiego pokoju jeszcze nie widziałem.

LUSIA ► Na basenie było jakoś dziwnie. Stało tam pełno figurek, takich jakby rusałek z dzbankami, z których leciała woda. Wszędzie rosły lilie wodne, pływały złote rybki i żaby. „Nie ma co się zastanawiać. W końcu to Gwatemala i pewnie taki mają styl” – pomyślałam i wepchnęłam brata do wody.

Trochę się podtapialiśmy, więc dałam się wniebogłoso. Nagle wpadł ochroniarz i zaczął coś krzyczeć po hiszpańsku. No ale kto mógł go zrozumieć?



Nierealny nocleg
w hotelu Vista Real



▶ Naleśniki z czekoladą i truskawkami, lody i Lusía bliska wybuchu

– *Yo no hablo español, Inglés por favor* – powiedziałam.

Facet wyszedł i po chwili wrócił z kolegą. Tym razem, już po angielsku, dowiedzieliśmy się, że basen jest w innym miejscu, a my kąpiemy się w antycznej sadzawce.

Po śniadaniu (z lodami bez ograniczeń) mój (z bardzo ograniczonej wielkości sercem) ojciec wrzucił na mnie przeogromny plecak, który ważył chyba ze 100 kilo, i ruszyliśmy nad czczone przez Majów jezioro Atitlán.

WOJCIECH ▶ W hallu pięciogwiazdkowego hotelu kręciło się wielu eleganckich gości. Mieli piękne walizki i wsiadali do podstawianych przez szoferów limuzyn. My wynurzyliśmy się z windy z plecakami, przeszliśmy obok recepcji, wyszliśmy z hotelu i stanęliśmy naprzeciw tego eleganckiego budynku, na przystanku autobusowym. Jestem pewien, że patrzący na nas recepcjonista trzy razy sprawdzał, czy rachunek został uregulowany. Ja też miałem obawy, ale *señora* Elenita to równa babka i wszystko załatwiła.

Wsiadliśmy do rozklekotanego zielonego chicken busa i pojechaliliśmy na dworzec. Dworzec to zbyt wielkie słowo. Czuliśmy się, jakbyśmy znaleźli się na wielkim złomowisku aut, obok których fa-

ceci wykrzykiwali na całe gardło nazwy miast. Zamierzali do nich dojechać, choć patrząc na wiek pojazdów, było to obarczone sporym ryzykiem.

– Panajachel?

– *Sí, prego, sí, sí.*

Wsiadliśmy. Gwatemalskie autobusy to jakby odrębne istoty, które żyją poza prawem i robią, co chcą. Nie wiem, czy piszę teraz o autobusach czy o kierujących nimi ludziach. W każdym razie są nierozzerwalną całością. Autobus ma z reguły ze 100 lat, a kierowca różnie, ale jeśli by zsumować wiek kierowcy i nieodłącznego konduktora, to też wyszłaby setka, a może nawet więcej.

Należy w tym miejscu wyjaśnić, że chicken busy to stare szkolne amerykańskie autobusy, z siedzeniami przystosowanymi dla dzieci w wieku szkolnym. Dorosły człowiek nie ma najmniejszych szans wyprostować nóg, a po 30 minutach jazdy rozpoczyna walkę z bólem w zgiętych kolanach. Czasami miałem ochotę odkręcić sobie nogi i wrzucić je do bagażnika.

Kierowcy-wariaci robili wszystko, byśmy nigdy o serwowanych przez nich atrakcjach nie zapomnieli. Nieustające trąbienie, jazda bez świateł, kierunkowskazów i wycieraczek czy wyprzedzanie pod górę na ciągłej linii to był standard. Przy tym wszystkim snuł się



▶ Ile miejsc ma chicken bus? Tyle, ilu chętnych

po aucie, jego dachu i pewnie też podwoziu konduktor z plikiem banknotów między palcami i kasował wszystkich za przejazd. Ludzie wsiadali z przodu, z tyłu, przez okna i po drabinie na dach, a on zawsze wiedział, kto jest nowy i jeszcze nie zapłacił. Pełził wtedy do ofiary powoli, bezwzględnie jak wąż, i pobierał, co mu się należało, a często o wiele więcej. Nikomu nie przepuścił. Wolał raczej dwa razy kogoś skasować, niż wypuścić go z autobusu bez biletu. W chwili odjazdu kierowca, konduktor i chicken bus zamieniają się w jeden twór, który rządzi się własnymi prawami i zawsze mówi „sí”. Nie ważne, gdzie jedziesz, i nieważne, jaką ów twór ma trasę, zakładając, że w ogóle jakąś ma – możesz być pewny, że gdy spytasz o interesujące cię miejsce, zawsze będzie mu pasowało. Twór trzy razy zapewnił mnie, że jedzie właśnie tam, dokąd zmierzamy, do Panajachel. Nagle, po 3 godzinach jazdy, bez żadnego ostrzeżenia oznajmił, że jego trasa pokrywała się z naszą do tego miejsca, a z drugą częścią musimy sobie poradzić sami. Na koniec dodał jeszcze, że miasto przed nami też jest bardzo ładne i za drobną dopłatą może nas tam podrzucić. Gdy spytałem o zwrot choć części opłaty za bilet, twór odjechał. „Dobrze, że chociaż z dachu zleciały nasze plecaki” – pomyślałem. Staaliśmy na puste drodze i czekaliśmy.



Chicken bus odjeżdża, gdy jest pełny, a przyjeżdża... jak dojedzie



Obwoźni sprzedawcy są wszędzie

WOJTUS ► Panajachel to niewielkie miasto nad jeziorem Atitlán, leżącym u podnóża trzech wulkanów: San Pedro, Tolimán i Atitlán, z których jeden planowaliśmy zdobyć. Dowiedziałem się, że naszym kolejnym gospodarzem będzie pani o imieniu María. „To chyba bardzo popularne imię w tym kraju” – pomyślałem, a potem zacząłem się zastanawiać, jak do niej dotrzemy.

Następny twór przyjechał po 2 godzinach. Pomagier kierowcy rzucił plecaki na dach i przywiązał je obok leżącej tam kozy. Powiedział do mnie albo do niej „no problema gringo” i autobus ruszył.

Podróż chicken busem jest niesamowita. Co chwila wchodzi nowy sprzedawca i namawia cię do kupienia a to długopisów, a to wafelków z orzechami, a to pasty do zębów. Można też posłuchać Pisma Świętego – bo i panowie czytający na głos Biblię wsiadali. Tata powiedział, że to kaznodzieje, którzy jeżdżą na gapę. Bo od nich za bilet nie brali. Czasami któryś ze znawców Biblii wydzierał się na pasażera, który zasnął, zmęczony podróżą. Dobrze, że w Polsce na kazania tacy nie przyjeżdżają.

Twór gnał tak szybko, że w pewnym momencie spadł z dachu na ulicę jeden z bagaży. Konduktor popatrzył tylko po podróżnych i gdy nie znalazł zainteresowanego zgubą, kiwnął kierowcy, żeby ten nie zwalniał.

Nasze plecaki też jechały na dachu razem z kozą, więc się nie martwiliśmy, ale gdy zaczął padać deszcz, to już nie byliśmy tak spokojni, bo pomyśleliśmy o ciuchach. Przywiązanej na dachu kozie pewnie też przestała się podobać ta podróż.

W pewnej chwili twór nagle stanął na targu i krzyknął, że mamy przerwę. Dziewczyny zostały, aby pilnować plecaków i kozy, a my poszliśmy zorganizować żarcie. Znaleźliśmy brudną budę, gdzie sprzedawali hamburgery z frytkami. Mi było wszystko jedno, ale Luśka nie je frytek. Mamie też nie mogliśmy kupić hamburgera, bo jest wegetarianką. Pan zaproponował więc mamie kurczaka z grilla, a siostrze okrągłe kawałki ziemniaków smażone na oleju. Wtedy zrozumiałem, że w Ameryce Południowej kurczak to nie mięso, a frytki są tylko podłużne.

LUSIA ► María okazała się młodą dziewczyną, która mieszkała z jeszcze młodszą siostrą, chorą na autyzm. Dziewczynka robiła wszystko według określonego schematu. Większość dnia siedziała w kącie i pokazywała na obrazki, gdy czegoś chciała, bo nie potrafiła mówić. María nauczyła ją języka migowego, aby miały kontakt. Maya jednak wolała spędzać czas w samotności.



Tradycyjne,
kolorowe stroje
gwatemalskich
kobiet

ELIZA ► Problemem Gwatemali jest to, że niewielki procent społeczeństwa należy do klasy średniej. Tu jesteś albo bardzo majątny, albo bardzo biedny. María z Panajachel, nie mogąc liczyć na jakieśkolwiek wsparcie ze strony państwa, sama wychowuje siostrę. Żeby utrzymać się przy życiu, prowadzi warsztaty plastyczne dla dzieci z bogatszych rodzin.

Z drugiej strony jest *señora* Elenita – milionerka. Żyje jak Europejka. Drogie auto, wakacje w kurortach i torebki od Diora. Przepaść społeczna jest ogromna. W Polsce nie trzeba być milionerką, aby kupić sobie markową torebkę. Dziewczyny oszczędzają rok i mogą sobie pozwolić na małe szaleństwo (tylko nic nie mówcie mojemu mężowi).

Gwatemala to kraj, gdzie kraty i kolczaste druty są w większości okien. Świadczą o braku zaufania do sąsiada. Jest wiele porwań, napadów i aktów przemocy, których przyczynę stanowi bieda. Nie-równość społeczna jest widoczna na ulicach. Wystarczy wyjechać z lepszych dzielnic wszystkich dużych miast, a krajobraz zupełnie się zmienia. Wysokie budynki z drogimi restauracjami znikają. Zastępują je stare domy, wąskie uliczki i stoiska z lokalnym, prostym jedzeniem. To w biednych dzielnicach toczy się prawdziwe życie



Pozostawione
bez opieki dzieci
widać w Gwatemali
na każdym kroku

Gwatemali. Wszędzie widać kobiety obłożone przez dzieci – zasmakane, półnagie, trzymające się spódnicy matki. Dzieciaki są szczęśliwe, bo spędzają z nimi i rodzeństwem cały dzień. Matka sprzedaje, dzieci pomagają.

Często widzieliśmy pracujące dzieci. Sprzedają drobiazgi, grzebią w śmieciach lub szukają złomu. Na zawieszonym nad ruchomą ulicą przejściu dla pieszych spotkaliśmy dwie dziewczynki. Starsza odrabiała lekcje na krawężniku i pilnowała młodszej. Mama i tata myli szyby samochodów.

Ludzi żyjących na ulicach jest dużo. Trudno mi przejść obok nich obojętnie. Wiem, wiem, miałam obserwować, a nie angażować się w ratowanie świata. Mam pokazać dzieciom świat prawdziwy, bez lukru, nie chować niczego pod dywan. Nie są już małe. W czasie tej podróży jeszcze wiele zobaczą i nie zamierzam ich przed tym chronić.

Nie będzie łatwo. Lusia kompletnie nie odnajduje się w tym wszystkim. Nie rozumie, dlaczego dwie małe dziewczynki siedzą cały dzień na ulicy, dlaczego są bardzo głodne. Jeszcze nie potrafi rozpoznać w sobie współczucia dla ludzi, bo nie dotknęła prawdziwych tragedii. Na razie bardziej przejmują się losem porzuconych



▶ Nie wszyscy na świecie mają pralki...



▶ Chichicastenango – nasz pierwszy tak duży targ w podróży

piesków. Ten temat jest jej znany z Polski. Po co mówić o ludziach – o wiele łatwiej uznać się nad zwierzętami. U babci oglądała programy o porzuconych i rannych psach w schroniskach. Zawsze płakała. Głodnych dzieci i myjących szyby rówieśników nigdy jeszcze nie widziała.

Dziś wieczorem zapytała mnie jednak: „Mamusi, czy policja tak pozwala?”. Chyba zaczyna się coś ruszać w jej małym serduszk...

WOJCIECH ▶ Niezrażeni autobusowymi przygodami zaplanowaliśmy kolejną wycieczkę. Pojechaliśmy do Chichicastenango, gdzie odbywa się największy w Gwatemali targ. Niestety do starej miejscowości Majów nie było żadnego bezpośredniego połączenia.

Zdecydowaliśmy się na przejażdżkę po górskich serpentynach chicken busami, z trzema przesiadkami. To było istne szaleństwo. Kierowcy pruli, jakby ścigali się w zawodach Formuły 1. Jeden wyprzedzał na trzeciego, inny ostro hamował. Takiej jazdy nawet Kubica by nie wytrzymał. Gdy dotarliśmy do Chichi, każdy miał pełne spodnie i omdlałe od zapierania się o fotel sąsiada ramiona.

Jechaliśmy na targ, a to w Ameryce Południowej oznacza niesamowite sąsiedztwo. Twór nie zna ograniczeń: zabiera wszystko

CHICHICASTENANGO

i wszystkich. Koguty, świny, kozy, kury i oczywiście tabuny obwoźnych handlarzy, którzy próbują sprzedać swój rewelacyjny towar. Z powrotem jechały z nami dokładnie te same produkty, tylko w torbach nowych właścicieli, a twór tylko się uśmiechał oczami kierowcy i konduktora, zadowolony z pełnego obłożenia.

SAN PEDRO

WOJTUŚ ► Plecaki zostawiliśmy u Marí i następnego dnia pojechaliśmy nad jezioro Atitlán. Jezioro znajduje się w ogromnej kalderze, która powstała dziesiątki tysięcy lat temu wskutek wybuchu superwulkanu. Uważane jest za jeden z najpiękniejszych zbiorników naturalnych na świecie – ze względu na wodę mieniącą się przeróżnymi odcieniami niebieskiego i wspaniałą linię brzegową. Okolice jeziora zamieszkują plemiona Majów. Najliczniejsze z nich, Tzutuhil, żyje do dziś niesłuchanie skromnie, według tradycyjnego porządku, i wciąż traktuje jezioro jak świętość.

Ale nie jezioro Atitlán było celem naszego wypadu. Planowaliśmy zdobyć wulkan San Pedro mierzący 3020 metrów. To było pierwsze wspólne wyzwanie, a ja już po godzinie miałem dosyć. Było tam ze 40% nachylenia i musieliśmy dosłownie wdrapywać się pod górę! Na początku wspinałem się dość szybko i reszta rodziny została w tyle. Po godzinie dopadło mnie zmęczenie i postanowiłem odpocząć. Pierwsza dogoniła mnie mama. Powiedzmy, że dogoniła, bo raczej dopełzła. Gdy zacząłem się śmiać, usłyszałem, żebym się już lepiej nie odzywał. Ojjoj, mama była zła, a zabawa dopiero się zaczynała.

Szedłem więc dalej sam. Powiedziałem tylko, że będę gwizdał co jakiś czas (na gwizdku przypiętym do plecaka), żeby wiedzieli, że żyję. Zostawiłem rodzinę w tyle i parłem do góry. Szło się coraz trudniej. Ten wulkan był naprawdę bardzo stromy.

Gdy zbliżyłem się do punktu widokowego, pomyślałem, że wszyscy zasłużyli na odpoczynek i wreszcie coś zjemy. Niestety po 10 minutach zaczął padać deszcz i o postoju mogliśmy zapomnieć. Z początku mżyło, ale potem się rozpadało. Strugi deszczu zaczęły spływać po ścieżce. Zrobiło się niebezpiecznie. Wąski, kręty szlak wił się stromo bez końca, a my byliśmy bez sił. W dodatku zaczęło

się ściemniać. Mama mnie dogoniła. Dowiedziałem się, że tata poślizgnął się i zjechał w dół.

Wspinaliśmy się od 5 godzin, zrobiło się całkiem ciemno. Włożyliśmy latarki na głowy i szliśmy dalej. Deszcz lał bardzo mocno. Nagle mama się poślizgnęła. Kazała mi stać w miejscu i trzymać się



◀ Jezioro Atitlán położone w kraterze superwulkanu

▶
Nocleg
w starej chacie
na zboczu
wulkanu



liany. Wyglądała nieciekawie, cała mokra i brudna od błota. Woda płynęła wartkim strumieniem po ścieżce i okazało się, że chodzimy po gliniastym podłożu. Buty ważyły 10 kilo, a przemoczone ubrania drugie tyle. Co chwila ktoś upadał, bo poślizgnął się na liściach. O rozbiciu namiotu nie było mowy. Zsunąłby się ze zbocza – z nami w środku. Zaczęłam pękać, ale mama powiedziała, że wszystko będzie dobrze, tylko musimy iść dalej. Mówiła, że na pewno na szczycie będzie płasko i rozbijemy namiot, ale im dłużej tak mówiła, tym bardziej się bałam tego szczytu.

Wreszcie zobaczyliśmy drewniany domek. Zostawiliśmy w nim plecaki i poszliśmy po tatę, bo szedł powoli z Lusią. Byli bardzo brudni. Luśka też się kilka razy wywróciła i wszystkie ciuchy miała mokrzusieńkie. Zabrałam siostrze plecak, a mama wzięła ją za rękę. Siedliśmy w rozwalonym domku i opędzlowaliśmy konserwę. Domek przeciekał tak mocno, że trzeba było rozstawić w środku namioty. Zrobiłem to z tatą, bo mama przez resztę wieczoru wymiotowała. Miała też zawroty głowy i strasznie bolał ją brzuch. Dopiero po paru dniach dowiedzieliśmy się, że to były typowe objawy choroby wysokościowej.

Następnego dnia zdobyliśmy wulkan we trójkę, bo mama nadal wymiotowała i poddała się 200 metrów przed szczytem. Poło-

żyła się na trawie i zasnęła, a ja i Lusia poszliśmy z tatą. Weszliśmy na samą górę. Byliśmy na szczycie! To było niesamowite. Machaliśmy białą-czerwoną flagą jak prawdziwi zdobywcy!

Po godzinie odpoczynku – i z naszą pomocą – mama także zdobyła San Pedro. To było nasze pierwsze wspólne rodzinne wyzwanie w tej podróży – i zakończyło się sukcesem. Nikt nie zabierze nam wspomnienia przyjemności, jaką czuliśmy, stojąc na szczycie i patrząc na GPS wskazujący wysokość 3020 metrów.

LUSIA ▶ Ja miałam dosyć. Byłam wykończona, a czekało nas przecież schodzenie po błocie. Weszłam na szczyt i oznajmiłam wszystkim, że właśnie zdobyłam dwa wulkany – pierwszy i ostatni. Tata coś tam marudził pod nosem, ale ja postanowiłam i już: za żadne skarby świata tego nie powtórzę.



▶
Całą rodziną
na szczycie
wulkanu San Pedro

Świąteczne stroje
potomków Majów



Po co się gdzieś wdrapywać? Tyle męczarni, żeby zaraz po wejściu na szczyt zejść. O wiele fajniejsze były krótkie rejsy małymi stateczkami transportowymi kursującymi pomiędzy miasteczkami leżącymi nad wielkim jeziorem Atitlán. Pływaliśmy tak sobie kilka godzin, patrząc na dzieci idące do szkoły, panie wracające z targu i panów w drodze do pracy.

Po rejsie po świętym jeziorze i wejściu na wulkan wsiedliśmy do nocnego autobusu i pojechaliśmy do jeszcze świętszego miasta. Podobno ukryte w dżungli Tikal było stolicą starożytnego ludu – miastem, które wszyscy Majowie kochali.

Hm, nie wiem, co tam będzie tikać, ale z opowiadań rodziców wyłapałam słowo „mały”, a ja bardzo kocham zwierzęta. Wszystkie mogłabym przytulać i karmić.

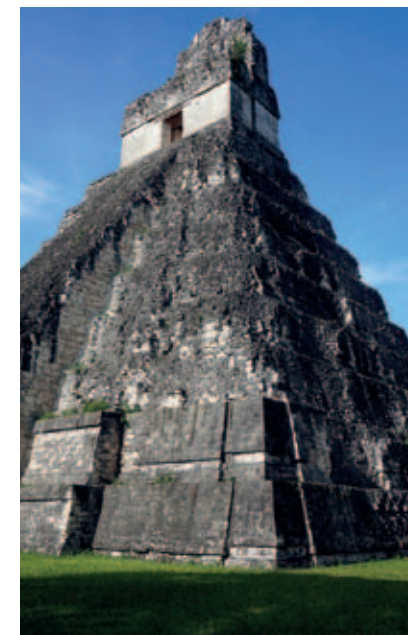
TIKAL

WOJTUS ► Każdy, kto oglądał filmy o przygodach Indiany Jonesa, widział Tikal. Słynne sceny z pajakami, piramidami i dżunglą były kręcone właśnie tam. Wcale się temu nie dziwię, bo miasto Majów jest jakby żywcem wyjęte z pradawnych czasów. Jest zatopione w dżungli, która powoli odzyskuje zrabowane jej przez ludzi tereny. Korzenie ogromnych drzew oplatają zachowane ściany piramid, jakby siłując się z dokonaniem ludzi, by pokazać, kto tu obecnie rządzi.

W Tikal stoi wiele piramid – niektóre nadal „mają się bardzo dobrze”. Niektóre liczą kilkadziesiąt metrów i górują nad dżunglą. Najwyższa, zwana Świątynią Dwugłowego Węża, mierzy 65 metrów. Weszliśmy na nią i oglądaliśmy wschód słońca nad oceanem drzew. Przed nami rozciągała się bezkresna zieleń, która sprawiała wrażenie niezdobytej, niedostępnej... To było fajne przeżycie. Indiana Jones był tu sam, a ja z mamą i tatą, i siostrą.

W Tikal jest jeszcze jedna atrakcja. Ochroniarze puszcza ją przez głośniki ryk jaguara i każdy się nabiera. W tym niezwykłym otoczeniu jesteś w stanie uwierzyć, że za drzewem kryje się ten dziki kot. Gdy szliśmy z rodzicami do piramid, jakiś pan położył mi na ramieniu tarantulę. „Ha, ha, ha, chce mnie przestraszyć taką sztuczną gumową zabawką” – pomyślałem. Tylko że pajak zaczął po mnie chodzić, a był większy od mojej dłoni. Łoooł, to była żywa tarantula!

LUSIA ► To była trudna noc i nefajny poranek. Tak naprawdę byłam trochę zła, trochę smutna, a trochę obrażona. A wszystko zaczęło się od pewnego Gwatemalczyka, który nie miał gdzie spać. Nie wiem, czy był bezdomny, czy tylko potrzebował pomocy w podróży tak jak my. Przed wyjazdem umówiliśmy się, że w jednym namiocie będzie spać tata ze mną, a w drugim mama z Wojtkiem. Przez tego gościa musiałam przenieść się do nich, bo tata odstąpił moje miejsce temu panu. Rano wszyscy mieliśmy wejść na najwyższą piramidę, by zobaczyć wschód słońca. Stamtąd jest podobno niesamowity widok, a słońce wschodzi nad dżunglą tak jak nigdzie indziej. Teraz to już w to nie wierzę, bo w kolejnych krajach widzieliśmy coraz



Tikal – starożytne miasto Majów, odkryte dopiero w XVII wieku



Przepiękna tarantula pozwoliła Wojtkowi pogłaskać się po grzbiecie

to inne wschody i zachody, a rodzice zawsze wzdychali tak samo. W każdym razie nie chciało mi się tak wcześnie wstawać, a poza tym musiałam się jeszcze trochę poboczyć na tatę za tego gościa.

Rodzice poszli więc z Wojtkiem, a mnie zostawili śpiącą w namiocie. O zgrozo, miał mnie pilnować ten Gwatemalczyk i rodzina śpiąca w namiocie obok. „Nikt nie będzie się mną zajmować, jestem już duża i spokojnie poczekam na rodziców” – pomyślałam i wyszłam z namiotu.

Zaczęłam szukać zwierząt. „Gdzie są te małpy?” Ruszyłam w stronę straganów. Tam małp nie było. Potem przeszłam się ulicą. Też nic. Gdy wracałam zrezygnowana do namiotu, w wielkich śmietnikach usłyszałam jakiś harmider.

Nagle na mojej drodze stanęło całe stado małp. Aż pisnęłam z radości. Zapragnęłam się z nimi pobawić i w pierwszej chwili myślałam, że one ze mną też. Niestety uznały, że chcę im zabrać śmiecie. Zaczęły zbliżać się do mnie, pokazując kły – jak złe psy. Jedna podbiegła do mnie i zapiszczała tak szkaradnie, że aż podskoczyłam.

Ojoj, małpy nie są wcale takie miłe ani sympatyczne jak w filmach. Na żywo wyglądają nawet na bardzo niebezpieczne. Tata!!! Tata!!!!



Jedziemy autostopem z Tikal do Flores

Gdy w mojej głowie zaczęły się kłębić myśli o długich zębach, wściekłości, zastrzykach i szpitalach, przybiegł Wojtek i pogonił małpy kijem. Właśnie wrócił z oglądania wschodu słońca. Fajnie mieć w takich momentach starszego brata. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło, ale teraz już trochę mniej kocham małpki.

WOJTUŚ ► Z Tikal wracaliśmy trzema autostopami. Najpierw pewna pani wzięła nas na pakę swojego pick-upa. Siedliśmy na workach z jakimiś warzywami – dojechaliśmy do skrzyżowania. Gdy pani stanęła i pokazała, że musimy skręcić w prawo, a ona jedzie w lewo, my już wsiadaliśmy do kolejnego auta. Wielka ciężarówka dowiozła nas na przedmieścia, a tam udało nam się złapać okazję do samego centrum. „No, tak to można podróżować” – pomyślałem.

Na koniec dnia czekała nas jeszcze jedna atrakcja. Jazda autobusem w kierunku drugiego państwa wyprawy: Belize.



Zobacz więcej zdjęć z Gwatemali



ZABRAŁAM BRATA DO KOŁA ŚWIATA

to niezwykła opowieść o prawdziwym życiu i o tym, co w nim ważne, piękne, trudne, zaskakujące. To opowieść o drzemającej w każdym sile sprawczej, którą wystarczy uruchomić, aby osiągnąć wielkie cele. Nikt jednak nie może zrobić tego za kogoś...

W książce podpowiadamy, jak zainicjować ten proces i rozpocząć przygodę życia. Na przykładzie naszej rodzinnej eskapady dookoła świata udowadniamy, że realizacja nawet najbardziej szalonych wyzwań jest możliwa. Wyprawę naszego życia planowaliśmy dwa lata. Będąc zwykłymi ludźmi, dzięki sile własnych marzeń dokonaliśmy rzeczy niezwykłej. Podczas rocznej włości pokonaliśmy 114 tysięcy kilometrów, podróżując z dwójką małych dzieci. Autostopem i chicken busami przemierzyliśmy cztery kontynenty. Nie szukaliśmy hoteli — sypialiśmy w namiotach lub korzystaliśmy z gościny napotkanych ludzi. Próbowaliśmy potraw lokalnych kuchni, zawieraliśmy wspaniałe przyjaźnie, przeżywaliśmy chwile wzruszeń i niezapomniane przygody. Uczyliśmy się siebie i świata... Dziś raz jeszcze wyruszamy w tę podróż — tym razem na kartach książki. Przed nami — i Czytelnikami — **pierwszy etap wyprawy: północna część Ameryki Łacińskiej.**

Lusia, Wojtuś, Eliza i Wojciech Łopacińscy

Patroni:

KONTYNENTY

Rozmawiaj Świat
MIESIĘCZNIK

MAŁY GOŚC
WIEDZIELNY

ebook dostępny wyłącznie na:
ebookpoint.PL



B Bezdroża

Księgarnia internetowa:
<http://bezdroza.pl>

Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900
0 601 339900

Sprawdź najnowsze promocje:
• <http://bezdroza.pl/promocje>
Przewodniki najchętniej czytane:
• <http://bezdroza.pl/bestsellery>
Zamów informator podróżniczy:
• <http://bezdroza.pl/newsletter>

Helion SA
ul. Kościuski 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: bezdroza@bezdroza.pl
<http://bezdroza.pl>

ISBN 978-83-283-3448-9



Cena 39,90 zł